

Dr. T. Gluziński

Pędziszem na południe IX

Przyrzekliśmy sobie przed rozpoczęciem podróży, że wielkich miast zwiedzać nie będziemy. Nie stety siedemsettyśięcny Turyn, gwarny i drgający życiem, podlega tej regule. Dziś na dobitkę upał i słońce pali niemiłosiernie. W tych warunkach pobyt w rozżarzonych murach nie należy do przyjemności.

Oglądamy więc miasto trochę z wierzchu, przejeżdżając autem po ulicach. Zresztą musimy skręcić na przedmieścia, by poszukać centralnych zakładów reperacyjnych „Fiata”. Jak wiadomo, siedzibą tej włoskiej firmy samochodowej jest właśnie Turyn. Samochód nasz wprawdzie chodzi bez szwanku, ale po paru tysiącach kilometrów podróży należy mu się przegląd fachowy.

Olbrzymie hale reperacyjne, a w nich setki samochodów, podlegających naprawom. Rutynowy mechanik, wysoki, czarny, kędzierzawy Włoch zabiera się do przeglądania wozu. Bada sumiennie, gruntownie każdy szczegół. Znalazł drobne usterki, jakieś trochę rozkręcone śrubki i poprawia. Potem proponuje Władowi, że razem z nim przejedzie się po mieście, prowadząc auto.

Ja z Wiktorem czekamy. Próbuje odczytać wiszące na bramie warsztatów obwieszczenie o mającym się odbyć zgromadzeniu faszystowskim. Długa odezwa zapowiada sprawozdanie z działalności okręgu turyńskiego i kończy się okrzykiem na cześć Wodza.

Władek wraca, trochę podniecony. Mechanik — to trochę zwariowany zuchwalec! Jeździł z największą szybkością po ruchliwych ulicach i zwracał niemal w miejscu, jak cyrkowiec.

Zato Włoch zachwycony polskim montażem warszawskiego „Fiata”. Zapewnia, że wiele lepszy, niż włoski. „U was mniej produkują, to się tak nie spieszą” — powiada — ale u Francuzów też konstruuja „Fiaty” i taki samochód rozlatuje się po paru miesiącach.

I tutaj wyszedł brak sympatii do łacińskich sąsiadów.

Wreszcie ruszamy w drogę. Przez miasto i dalekie przedmieścia wpadamy na nową autostradę, prowadzącą do Mediolanu. Do Vercelli zamierzamy z niej skorzystać.

Budowa przypomina Autobahn niemieckiej. Ale zaraz na wstępie zatrzymują nas i pytają, dokąd jedziemy. Strażnik sprzedaje nam bilet na odcinek do Vercelli. Nie dużo kosztuje, ale zawsze. Dobre dla kogoś, komu bardzo pilno, ale

nam się nie spieszy i na zwykłej drodze dojedziemy także.

Zapłaciliśmy więc, jedziemy 120 km., potem 130 km. Mimo to rudno, bo osiedla pozostają w dali. Ruch mniejszy, niż we Francji lub w Niemczech, ale dość znaczny. Już wyjazd z autostrady wiodącej do Vercelli.

Właśnie południe. Ulice, jak wymarłe, bo wszyscy siedzą w domach. Wszędzie pozapuszczane ciężkie drewniane żaluzje tak, że i domy wydają się opuszczone.

Zajeżdżamy przed bazylikę św. Andrzeja, której wieże widzieliśmy z dali. Zrab architektury pochodzi z 13-go wieku i nosi jeszcze pietno stylu romańskiego. Wnętrze niestety zamknięte i wszelkie wysiłki zawodzą.

Poszukujemy teraz katedry, ale ukryta wśród domów nie daje się odnaleźć. Beznadziejnie błądźmy samochodem po trzydziestotysięcznym miasteczku. Zoczył to jakiś młodzieniec i ofiarowuje się wskazać nam drogę. Wskoczył na stopień auta i prowadzi nas komenda.

Przed katedrą zeskoczyć. Stajemy i dziękujemy za pomoc. Zbyt strojnie wygląda, aby mu coś dać do ręki. Proponujemy, że odwiedzimy go do domu.

Zaśmiał się: „Ja nie idę do domu” — i pozdrowił nas faszystowskim ukłonem.

Opuszczamy Vercelli wąską, nieświecąca szosą. Natrafiamy na setki motocykli, wśród których od czasu do czasu widać samochody z chorągiewkami. Jakis wyścig, bo to dziś uroczystość partyjna. Tumany kurzu wita nas na szosie.

Szosa tu wysadzane strzelistymi topolami. Przypominają się niektóre drogi w Polsce, gdzie ta włoska topola zawędrowała i zadomowiła się na dobre.

Po drodze czasami zjawia się laszek liściasty, pokrywający przestrzeń niewielką. Drzew tu tak mało, że aż tęskno za chłodem gęstwiny. Pola i pola, rodzące pszenicę, proso i ryż. To śpichlerz Italii.

Już Pavia. Zatrzymujemy się na zwiedzenie miasta. Nęci nas przede wszystkim słynny, starodawny uniwersytet. Alma Mater naszego Kopernika. Olbrzymi gmach, zawierający siedem wspólnych dziedzińców z kolumnami w stylu odrodzenia — oto siedziba jednego z najstarszych uniwersytetów Europy. Założony w r. 1361 przez Galeazzo Visconti, świecił blaskiem nauki. Obecny budynek zaczęto wznosić w roku 1490 za rządów Ludovico Moro. Błąkamy się po podwórzach i z szacunkiem odczytujemy stare napisy na po-

sagach i tablicach pamiątkowych umieszczone na cześć tytanów wiedzy, którzy w tych murach działali.

Oglądamy jeszcze romański kościół św. Michała, zaczęty w 11-ym wieku. Chodzimy po wązkie uliczkach, kryjących wspomnienia przeszłości. Całe miasto — to cacko dawnych wieków.

Te małe miasta włoskie mają przedziwny urok. Tu podpatruje się minione czasy, jakby na gorącym uczynku. Wielkomięskość nie zepsuła tu uroku, nie zdarła patyny lat, pełnych chwały. Średniowiecze i renesans przemawiają niesfalszowanym głosem.

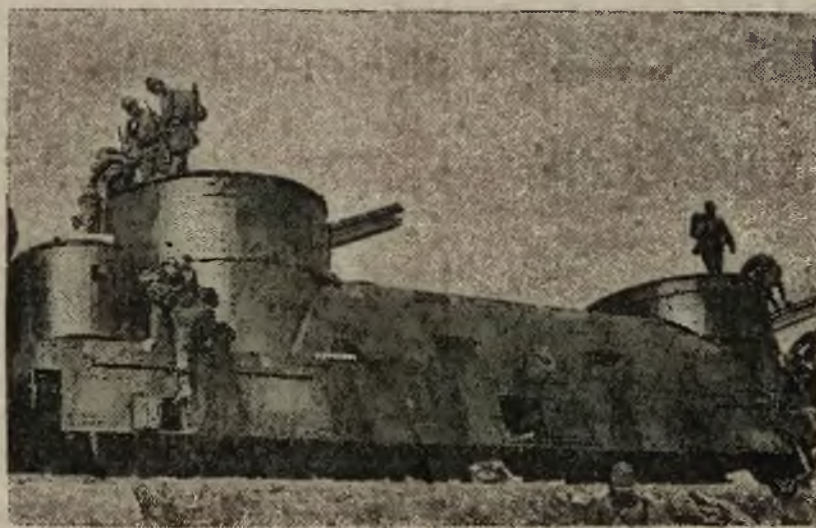
I znowu w drogę. Znakomita szosa, biegnąca po równinie. Już coraz częściej winnice o innym, niż w górach, wyglądzie. Olbrzymie przestrzenie sadów czereśniowych, a pomiędzy pniami drzew wiją się długie, nieprzerwane łańcuchy winnej latorośli. I tak bezustannie, prawie do znudzenia.

Wszędzie po miasteczkach i

wsiach na białych, bocznych ścianach domów cytaty z mów Mussoliniego. Pod każdym podpis Wodza. Czytamy i podziwiamy, jak prostymi słowami budzą one nacjonalizm w najszerzych warstwach ludu. Przemawiają do uczucia, do wyobraźni, do rozumu i do tradycji rzymskich. Do nich odwołuje się faszyzm często i dostrzec to można co chwila. Pomnik wilczycey, karmiącej Romulusa i Remusa, legendarnych założycieli Rzymu, posagi Cezara i Augusta, tablice, upamiętniające zdarzenia z dziejów dawnej Romy. Dodać rozsiane po Italii ruiny starożytnej świetności i łatwo zrozumieć można, że przeszłość ta żyje i przemawia do duszy każdego Włocha, każdego prostaczka, któremu mówią, że jest spadkobiercą tej wspaniałej cywilizacji. I na tle tej przeszłości Mussolini przemawia do dumy narodowej swego ludu, jak następca Cezarów.

Prawie o zmroku wjeżdżamy do Piacenzy.

Na froncie chińsko-japońskim



Jeden z najbardziej nowoczesnych pociągów pancernych armii chińskiej, zdobytych przez wojska japońskie w Chinach północnych.

Do Muzeum Narodowego wstęp nadal bezpłatny

Celem ułatwienia jaknajszerszym sferom poznania skarbów Muzeum Narodowego w Warszawie, okres bezpłatnego zwiedzania został przedłużony do końca bieżącego roku we wszystkich dni z wyjątkiem wtorków. We wtorki będzie obowiązywać dawna cena wejścia, a więc bilet normalny — 20 gr., młodzież szkolna i wycieczki zbiorowe 5 gr.

Przypominamy, że chwilowe

zamknięcie Muzeum skończyło się w sobotę 13 b. m. Począwszy od niedzieli 14-go b. m. Muzeum jest otwarte codziennie z wyjątkiem poniedziałków, przy czym w poniedziałki świąteczne Muzeum będzie otwarte.

Zwiedzać Muzeum Narodowe można od godziny 9-iej do 14-iej w niedziele i święta do 15-iej, prócz tego w soboty, niedziele i święta od 17-iej do 10-iej.

Najstarsza polska placówka na Dalekim Wschodzie

Najstarszą polską placówką przemysłową na Dalekim Wschodzie znajduje się w Asyche.

Miejscowość Aszyche, po chińsku Acheng, położona jest o 40 km. na północno - wschód od Charbina.

Aszyche oddawna już związana jest z Polską. Polacy z lubelskiego założyli tam przed laty cukrownię, egzystuje ona do dziś lecz jako T-wo Akcyjne polsko-japońskie, pod nazwą „Północno-Mandżurskie T-wo Cukrowni-

cze”. Nazwa firmy w brzmieniu japońskim „Hokuman Seito Kabusiki Kaisha”.

Udział kapitału polskiego w Towarzystwie wyraża się w 48 proc. pozostałość stanowi kapitał japoński.

Zarząd i dyrekcja składa się z obywateli polskich i japońskich. Cukrownia zatrudnia stale 39 Polaków, w czasie kampanii — ilość Polaków zatrudnionych w cukrowni — zwiększa się znacznie.

Czy młody Roosevelt wykorzystuje stanowisko ojca

James Roosevelt, najstarszy syn prezydenta odpowiada na łamach „Colliers Magazine”, bardzo rozpowszechnionego tygodnika, na zarzuty jakoby wykorzystywał stanowisko ojca dla korzyści osobistych.

Młody Roosevelt pracuje w jednym z prywatnych towarzystw ubezpieczeniowych. Zarzucają mu w pewnych kołach, że posługując się nazwiskiem swego ojca,

zdołał uzyskać ogromną ilość klientów i zarabiał około 2-ch milionów dolarów rocznie. James Roosevelt powołując się na swe zeznania podatkowe, twierdzi, że jego najwyższe zarobki wynosiły 49.167 dolarów w 1937 r. a najniższe 21.714 dolarów w 1933 r. W końcu James Roosevelt oświadcza, że wszyscy ci, którzy twierdzą, że wykorzystywał stosunki w rządzie celem uzyskiwania klientów — kłamią.

10 tys. osób na pogrzebie tragicznie zmarłych dziennikarzy

BUDAPESZT, 14. 8. Pomimo dżdżystej pogody przeszło 10 tysięcy osób wzięło udział w pogrzebie dziennikarzy węgierskich, którzy zginęli podczas katastrofy lotniczej pod Debreczynem. Na wielkim katafalku ustawiono 12 trumien, na których złożono kilkadziesiąt wieńców.

W pogrzebie wziął udział minister sprawiedliwości Mikecz na czele władz wojskowych i cywilnych. U podnóża katafalku wystawiona została straż honorowa, złożona z pilotów oraz kolegów redakcyjnych zmarłych dziennikarzy. Poza tym kompania piechoty ze sztandarem i orkiestrą oddała honory wojskowe.

Naczelnik wydziału prasy i propagandy Stefan Antal wygłosił przemówienie, poświęcone uczczeniu pamięci zmarłych. Przemawiał również przedstawiciel związku dziennikarzy węgierskich Władysław Poth. Po przemówieniach odbyło się złożenie zwłok zmarłych dziennikarzy do

grobów w kwaterze zasłużonych na cmentarzu budapeszteńskim.

Chińskie tytuły filmowe

Chińczycy zupełnie nie gustują w tytułach filmowych, nadawanych filmom przez Europejczyków. Odnoszą się do nich z bardzo dużą rezerwą, a raczej całkowicie je przerabiają, nie pozostawiając ani śladu z wyszukanych, krzyżujących i szlagierowych tytułów nadany im z Europy. Naturalnie zmieniają tytuły zależnie od swego gustu i upodobania. Film, noszący tytuł „Ruch w Paryżu”, otrzymał chiński o brzmieniu „Trzy gwiazdy, prowadzone przez księżyc”, „Pravo džungli” zmieniono na „Zielone góry i czerwony proch”. Sensacyjnie już zmieniono tytuł filmu „Król i tancerki”, bo na tak wybitnie brzmiący po chińsku „Przygoda wesołego smoka z feniksem”.

SZKOŁA Powszechna z internatem W ŚWIDRZE

7-KL. PRYWATNA SZKOŁA POWSZECHNA P. W. ŚW. JERZEGO W ŚWIDRZE uczy i wychowuje młodzież w idealnych warunkach zdrowotnych. Oplaty b. przystępne. TEL. OTWOCK 54-82

B. HOFMANN

16)

NIEJAKI PAN DE KATT

Powieść współczesna

Autoryzowana adaptacja Eugeniusza Bałuckiego.

Do antykwariatu Fokinga w Amsterdamie, gdzie przechowywano rzeczy pozostałe w spadku po kapitanie Kai Kragu, przeznaczone na licytację, dokonano zagadkowego włamania. Nic nie zginęło.

— Jak pan mówi, kto jest spadkobiercą? — ciągnął Foking. — Jak? Panna Malinowska z Warszawy? Aha! Trochę za późno się zjawiała... Do mnie przyjdzie? Dobrze! Ale niewiele dostanie, bo za cały kram uzbiera się zaledwie trzysta guldenów... Tak, tylko za bibliotekę, lecz z wyjątkiem ostatniej książki, tak zwanej kroniki Amstelkroog, która osiągnęła zawrotną cenę tysiąca stu guldenów. Między nami mówiąc, trafiłem na dwóch wariatów. Sądzę, że książka pójdzie jeszcze wyżej, bo pan zadzwonił, więc przerwałem licytację... Jak pan mówi?... No, oczywiście, wznowię licytację i będę windował, ile się da!... Co?! Ależ na miłość Boską, mynheer Reuter! Wycofać się teraz, gdy za głupią książkę dają kupę pieniędzy?! Przepraszam, ale to jest szaleństwo! Pan sam mówił, że to jest niezamierzona panna, aplikantka... powinna się cieszyć, bo zapewniam pana, że to był wyjątkowy wypadek! Drugi raz nie złapie takich wariatów... co?

Foking umilkł — widocznie notariusz coś mu tłumaczył. Wreszcie zasapał, co u niego było wyrazem podniecenia i odpalił:

— No, trudno, mynheer Reuter, muszę zrobić, jak pan każe. Jednak w związku z licytacją miałem wydatki... Pokryje? Dziękuję, ale na sprzedaży ostatniej książki sporo

stracił, już nie licząc tego, że namęczyłem się okropnie, by doprowadzić do tysiąca stu guldenów!... Dobrze, mynheer Reuter, wstrzymam dalszą sprzedaż rzeczy kapitana Kragga, ale proszę mi przysłać zaraz nakaz pisemny...

Zanim Foking wszedł na pomost, de Katt już był w sali licytacyjnej na swoim poprzednim miejscu, to jest w drzwiach za komisarem.

Weninga prześlizgnął się po nim szybkim spojrzeniem, lecz de Katt tego nie spostrzegł — patrzył w zamyśleniu przed siebie, przyszykując dolną wagę.

— Szanowni państwo! — obwieścił Foking. — Przykro mi niezmiernie, że muszę odwołać dalszą sprzedaż zbiorów kapitana Kragga. Poprzednia sprzedaż jest ważna, jednak zwracam się z prośbą o zwrot nabytych przedmiotów, kasa wypłaci natychmiast należność. Zjawili się spadkobiercy kapitana Kragga i przez notariuszów Reutera i Zeelanda zażądali wstrzymania licytacji. Prawu musi się stać zadość, więc oznajmiam z przykrością...

— Oczywiście, że z przykrością! — przerwał ten sam głos, który pierwszy zaproponował dwa guldeny za kronikę Amstelkroog. — Diabli wzięli piękną prowizję!

Rozgniewany, Foking spojrzał w kierunku, skąd padła bezczelna uwaga, lecz jego konkurent, antykwariusz Lemstra, już znikł.

— Przechodzimy do następnych przedmiotów, nie objętych zakazem, więc należących do innych osób — podjął Foking. Sięgnął po karafkę z winem, tym razem nalał pełną szklanekę i wychylił ją duszkiem. — Obrazy ze zbiorów pana van de Koorna. — Zwrócił się do córki: — Numer katalogu? — 1401...

Licytacja potoczyła się dalej.

— Gdzież jest jegomość, którego poleciłem pańskie uwagi?

— rozległ się przyciszony głos nad uchem Weninga.

Komisarz popatrzył spokojnie.

— Proszę zaraz wyjść ze mną, panie de Katt — odparł równie cicho, lecz bardzo stanowczo.

De Katt coś mruknął — jakby zaklął — lecz podążył za nim bez sprzeciwu.

Łedwo wyszli razem na ulicę, ktoś za nimi zawołał:

— Panie komisarzy! Czy mogę poprosić na chwilę?

Weninga odwrócił się.

— Pan doktor? Proszę bardzo! Czym mogę służyć?

— Mam do pana ważną sprawę — oświadczył van Kosten, czterdziestokilkuletni mężczyzna o mądrej i energicznej twarzy. Ujął komisarza pod ramię i zaczął mówić cichym, lecz wyraźnie podnieconym głosem: — Ta kronika... wie pan, nie przypuszczałem, że o nią się rozpęta taka walka. Do tej pory nie mogłem wyjść z podziwu!

— Ja też, panie doktorze — zapewnił Weninga.

De Katt stał w odległości paru kroków i obserwował obu rozmawiających.

— Bardzo proszę, panie komisarzy, niech pan ostrzeże Fokinga! — podjął van Kosten. — Niech uważa na tę księgę! Foking mówi, że nie rozumie jej treści i to się zgadza. Ma opinię... i zresztą słuszną... znawcy obrazów oraz cennych dzieł sztuki, ale jeśli chodzi o książki, to jest niemal analfabetą i tylko powtarza bezkrytycznie cudze zdania. Ja odpadłem przy trzystu guldenach, lecz tylko pozornie, by jeszcze więcej nie podbić ceny. W rzeczywistości czekałem na moment, gdy jeden z konkurentów wycofa się z walki. Rozumie pan? Dla mnie ta kronika ma ogromną wartość. Ale co tamci w niej widzą?

Weninga popatrzył ukradkiem: de Katt nie ruszył się z miejsca, tylko robił wrażenie trochę zniecierpliwionego.

— Panie doktorze — rzekł komisarz, — uważam, że będzie najlepiej, jeśli pan właśnie pomówi z Fokingiem. Pan jest wielkim autorytetem w tej dziedzinie, więc z łatwością go przekona, że ta kronika ma olbrzymią wartość dla... dla różnych ludzi. Ja się też zaopiekuję księgą, lecz w inny sposób.

— Tak, panie komisarzy, pan ma słusność — odparł van Kosten po krótkim namyśle. — Pomówię z Fokingiem i dowiem się przy tej sposobności, kto jest spadkobiercą kapitana Kragga... Jeszcze jedno: w jakim sensie pan powiedział, że kronika ma wartość dla różnych ludzi? Nawiasem mówiąc, nie mam pojęcia, kim jest ta pani, która ciągle podbijała cenę. Tego pana, który tam stoi, też nie znam.

(D. c. n.)